

Mk 1,80

MARJA.

MARJA.

POWIEŚĆ UKRAIŃSKA

PRZEZ

ANTONIEGO MALCZEWSKIEGO.

WYDANIE NOWE.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.
1875.

1966 rok
Czytałam dzisiaj Mamusi —

PIEŚŃ I.

Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie;
A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.

Jan Kochanowski.

I.

Ej! ty na szybkim koniu gdzie pędzisz kozacze?
Czyś zaoczył zająca, co na stepie skacze?
Czy rozigrawszy myśli, chcesz użyć swobody,
I z wiatrem ukraińskim puścić się w zawody?
Lub może do swej lubej, co czeka śród niwy,
Nucąc żałosną dumkę, lecisz niecierpliwy?
Bo i czapkęś nasunął, i rozpuścił wodze,
A długi tuman kurzu ciągnie się na drodze:
Zapał jakiś rozżarza twojej twarzy śniadość,
I jak światełko w polu błyszczy na niej radość;
Gdy koń, co jak ty dziki, lecz posłuszny żyje,
Porze szumiący wicher, wyciągnąwszy szyję.
Umykaj Czarnomorcu! z twą mażą skrzypiącą —
Bo ci synowie stepu twoją sól roztrącą.
A ty czarna ptaszyno, co każdego witasz,
I krążysz, i zaglądasz, i o coś się pytasz,
Spiesz się swą tajemnicę odkryć kozakowi —
Nim skończysz twoje koło, oni ujść gotowi.

II.

Pędzą — a śród promieni zniżonego słońca
Podobni do jakiego od niebianów gońca —
I długo i daleko słychać kopyt brzmienie:
Bo na obszernych polach rozległe milczenie;
Ani wesołej szlachty, ni rycerstwa głosy,
Tylko wiatr szumi smutnie, uginając kłosy;
Tylko z mogił westchnienia, i tych jęk z pod trawy,
Co śpią na zwiędłych wieńcach swojej starej sławy.
Dzika muzyka — dziksze jeszcze do niej słowa,
Które duch dawnej Polski potomności chowa —
A gdy cały ich zaszczyt krzaczek polnej róży,
Ach! czyjeż serce, czyje w żalu się nie nuży?

III.

Minął już kozak bezdnie i głębokie jary,
Gdzie się lubią ukrywać wilki i Tatary;
Przyleciał do figury (co jej wzgórek znany,
Bo pod nią już od dawna upiór pochowany),
Uchylił przed nią czapki, żegnał się trzy razy,
I jak wiatr świsnął stepem z pilnemi rozkazy.

I koń rześki żadnym się urokiem nie miesza,
Tylko parsknął i wierzgnął, i dalej pospiesza.
Ciemny Boh po granitach srebrne szarfy snuje,
A śmiały, wierny kozak myśl pana zgaduje —
Szumi młyn na odnodze, i wróg w łozie szumi,
A żwawy, wierny konik kozaka rozumi —
I przez kwieciste łąki, przez ostre bodjaki
Lżej się nie przesuwają pierzchliwe sumaki;
I jak strzała schylony na wysokiej kuli,
Czai się zwinny kozak, do konia się tuli;
I przez puste bezdroża król pustyni rusza —
A step — koń — kozak — ciemność — jedna dzika
dusza.
O! któż mu tam przynajmniej pohulać zabroni?
Zginął — w rodzinnym stepie nikt go nie dogoni.

IV.

Ruszaj, ruszaj kozacze — pośpiech nakazany;
W starym wyniosłym zamku nie małe odmiany:
Pan wojewoda z synem od dawna w rozprawie,
Długo teraz rozmawiał — i bardzo łaskawie;
A jednak — żywe były urazy i zwady,
Zatruta serc pociecha, zniszczone układy,

I łzy czułej rozpaczy i pychy zapału
Płynęły — często — gorzko — ale bez podziału.
Już inaczej w tym zamku — znikły niesmak, żałość,
Jaśnieje przepych pański, naddziadów wspaniałość,
Już śród licznego dworzan i służby orszaku,
Grona paziów, rycerzy domowego znaku,
W okazałe komnaty (długo niewidziany)
Zeszedł pan wojewoda bogato przybrany,
A gdy każdy tô szczęście usiłował głosić —
Zdawał się więcej synem niż chlubą unosić.
W spokojnych jego rysach trudno poznać znamię
Głębokich wewnątrz uczuć; tylko dzielne ramię —
Świetna mowa, dla ludzi — imię znakomite —
Co w sobie, to na zawsze dla wszystkich ukryte.
Lecz teraz, czy z potrzeby, czy w nagłem wzruszeniu,
W pieszczotach dawał ulgę długiemu cierpieniu;
I gdy w cichości z synem jakąś sprawę waży,
Widocznie uśmiech igrał na poważnej twarzy;
A w oczach się mignęła szybka, dzika radość,
Jak kiedy długim chęciom już się staje zadość,
Jak gdy w trudzącym biegu i myśli ucisku
Spocznie kto już na chwilę — choćby na mrowisku.
Spocznie? — oh! może tylko czoło pałające
Położy, gdzie go żądeł czekają tysiące.

V.

Do późnej nocy w zamku zgiełk i tentent trwały,
Do późnej nocy trąby i wiwaty grzmiały;
Dawny wrócił obyczaj, wspaniała ochota,
Długie się stoły śniły od srebra i złota,
I loch pański jak serce zdawał się otwarty —
A stary węgrzyn płodził nie bez duszy żarty.
I godząc huczne tony z wesołym hałasem,
Muzyka z swą melodją przebiła się czasem.
Do późnej nocy twarze — ostro — malowane —
Przodków, w długim szeregu zebranych na ścianę,
Zdały się iskrzyć nieraz martwemi oczami,
I śmiać się do pijących — i ruszać wąsami.

VI.

W ustach mieszka wesołość — w oczach myśl zgadnienia —
W głębi to, w głębi serca, robak przewinienia:
A gdy jaka uciecha razem ludzi zbierze,
I pycha, i pochlebstwo, śmieją się — nie szczerze.

Może tak w dawnym zamku — bo w rżnięte podwoje
Już noc zaprowadziła ciemne rządy swoje;
Już ucichli surmacze; sen szczęście osłania;
I puszczyk z wieży zaczął grobowe wołania;
A jeszcze — w bocznem skrzydle obszernej budowy,
Gdzie dzielny wojewoda wzrok orli, surowy
Pomarszczoną powieką w ustroniu przyciska,
Jak w jaszczur kryją kamień, którym duma błyska —
Jeszcze stuk chodu słychać — lub ciężkie westchnienia
W przerwanem tępotaniu wracają sklepienia.
Nikt tam nie zawołany wnijść się nie poważy —
Tam jego myśl ukryta samotnie się żarzy —
Tam może brnąć już w rozpacz, w niezwykłej niemocy,
Depce burzliwym krokiem po ciemnościach nocy,
Jakby w jej czarnem tchnieniu chciał gdzie znaleźć rękę
Krwawej, zgubnej przyjaźni — lub zgasić swą mękę!
I gdy z gorących oczu sen trwożny odlata,
I gdy mu duszną była wysoka komnata,
Otworzył wąskie okno — patrzał czas niejaki
Na swoje liczne hufce, rozwinięte znaki,
Co się do nakazanej zbierały wyprawy —
Słuchał budzącej trąby i wojennej wrzawy.
Pyrchają rącze konie, brzęczą w ruchu zbroje,
Szumią skrzydła husarzy, chcą lecieć na boje.

Dla nich wstające słońce w różowej pościeli
Blaskiem złotych warkoczy widokręg weseli,
I wznosząc świetne czoło, najpierwszem spojrzeniem
W lśniącej stali swe wdzięki postrzega z zdziwieniem.
Dla nich pachnący wietrzyk, co swój oddech świeży
Dmucha na włosy dziewic i pióra rycerzy;
Dla nich gwar małych ptasząt, w żywej słodkiej nucie
Co z mokrych rosą dziobków wyrywa uczucie —
Nie dla niego — on nie chciał na widoku zostać —
W niknących cieniach zamku zanurzył swą postać,
Jak te straszące mary, które bojaźń nasza
Widzi w bezsennej nocy — poranek rozprasza.

VII.

Dano znak — wrzasły trąby — szczękneły podkowy —
Mężnego towarzysza wierny szeregowy
Jak cień nie odstępuje, i szybkim obrotem
W ciasną gotycką bramę suną się z łoskotem.
Zagrzmiała długiem echem do sklepienia drżąca —
Aż łagodniejszą ziemię lżej kopyto trąca:
I ciszej, ciszej brzęcząc — już słabo — zdaleka —
Głuchy dochodzi odgłos, i coraz ucieka.

Dopiero to na polu — gdzie ogromne koło
Wytoczyło już słońce — bujają wesoło;
I pstrym swoim proporcem, nim sławy dostąpią,
W żywych strumieniach światła jak orły się kąpią.
Tysiące piór, kamieni, w blask, w farby się stroi;
Tysiące drobnych tęczy odbija się w zbroi;
A na ich bystrych oczach siedziało zwycięstwo,
A na ich serc opoce kwiłła wierność, męstwo —
A na czele tych szyków wyniosły młodzieniec.
Lecz któż on? jakiż chwały czy szczęścia rumieniec
Lniane chcą cienić włosy? oh! milszy sto razy,
Niż różowe porankiem natury obrazy,
I słodszy, i jaśniejszy od chwały połysku
Ten blask — co w jego serca żywi się ognisku!
Ten uśmiech — w którym może choć część zachwy-
cenia,
Z jakiem wybrani słyszą Cherubinów pienia.
Na lotnym jechał koniu — i nad jarów brzegi
Poprowadził w porządku milczące szeregi;
Znikli w zarosłą przepaść — aż krążąc parowy,
Jeszcze raz świetne z krzaków ukazali głowy;
Jakiś na wzgórku rozkaz młodzieniec dał znakiem —
I poszli, poszli drogą za żwawym kozakiem,
Którego lekkie ślady od kopyt bez stali
Wietrzyk z rosą, jak dzieci, piaskiem przysypali.

VIII.

I ciche, puste pola — znikli już rycerze,
A jakby sercu brakli, żal za nimi bierze;
Włóczy się wzrok w przestrzeni; lecz gdzie tylko
zajdzie,
Ni ruchu nie napotka, ni spocząć nie znajdzie.
Na rozciągnięte niwy słońce z kosa świeci —
Czasem kracząc i wrona i cień jej przeleci,
Czasem w bliskich burzanach świerszcz polny za-
świerka,
I głucho — tylko jakaś w powietrzu rozterka.
To jakże? Myśl przeszłości w tej całej krainie,
Na żaden pomnik ojców łagodnie nie spłynie,
Gdzieby tęsknych uniesień złożyć mogła brzemię?
Nie — chyba lot zwinąwszy, zanurzy się w ziemię:
Tam znajdzie zbroje dawne, co zardzałe leżą,
I kości, co nie wiedzieć do kogo należą;
Tam znajdzie pełne ziarno w rodzajnym popiele,
Lub robactwo rozgniłe w świeżem jeszcze ciele;
Ale po polach błądzi nie sparłszy się na nic,
Jak rozpacz — bez przytułku — bez celu — bez
granic.

IX.

Pod staremi lipami miecznik dumał stary;
I dźwigał w zwiędłej głowie utrapień ciężary.
Chociaż ten czarny żupan smutny przy siwiznie,
Nosił i jasne barwy, gdy służył ojczyznie.
Ojczyznie! której imię śród boju i rady,
I spornego wyboru, i hucznej biesiady,
Czystym gorzało ogniem — a serce, jak w wiośnie
Ptak do słońca, do niego skakało radośnie!
Ale czas świetnych uczuć już zciemniał — ej! minął,
I boli tylko życie, a kwiat jego zginął.
Dumał — i przeszłe żale, obecne zgryzoty
Pokrył kir nieprzebity grożącej sromoty.
O! póki tchu przynajmniej, tak łatwo i marnie
Płomień zawziętej pychy gniazda nie ogarnie!
O! póki czarny żupan żywe członki ciśnie,
Wyschła ręka w potrzebie starą szablą błyśnie!
Lecz potem? — dumał miecznik i wzrok wodził hardy,
Pełen niechęci — gniewu — a może i wzgardy.

X.

Przy nim młoda niewiasta — czemuż, kiedy młoda
Tak zamglonym promieniem świeci jej uroda?
Ni ją ubiór udatny, ni ją stroją kwiaty:
Czarne oczy spuszczone, i żałobne szaty:
A w twarzy smutek, czoło co schyla w cichości,
Którego całym blaskiem — uśmiech cierpliwości!
Lub jeśli, kiedy nagle, w pośród gęstych cieni,
Jaka myśl, czy pamiątka jej lica zrumieni,
To tak mdłem, bladem światłem, jak gdy księżyc w pełni
Niezwykłem życiem rysy posągu napełni.
Piękna, szlachetna postać — do aniołów grona
Dążyła, ich czystości czarem otoczona.
Ale trawiący oddech światowych uniesień,
Owiał pąk młodych uczuć i zwarzył jak jesień.
To jeszcze jest na drodze, gdzie nią wicher miota,
W ciężkich kajdanach ziemi dla nieba istota;
Serce nosi uschnięte, a świeci jak zorza;
Podobna do owoców Umarłego morza,
Pod których śliczną farbą, śród trudu, mozoły,
Podróżny widzi nektar — znajduje popioły.
Jakaś posępna słodycz w jej każdem ruszeniu:
Ani łzy, ani żalu w jej mglistem spojrzeniu;

Oh nie! — przeszłych już zgryzot nie widać tam wojny,
Tylko znikłej nadziei grobowiec spokojny,
Tylko się lampa szczęścia w jej oczach paliła,
I zgasła — i swym dymem całą twarz zaćmiła.

XI.

Przy nim młoda niewiasta nad księgą Żywota,
Jak trwożna gołębica, pod jasności wrota
Wzbijała ducha wiary, i skrzydły drżącemi
Szukała swego gniazda daleko od ziemi.
A że nad przepych świata i blasków pozory
Widniejsze pióra białe zniżonej pokory,
I drży nić, którą serce do nieba związane —
To kropla słodkiej rosy upadła w jej ranę.
I wznosząc w górę oczy z tym tkliwym wyrazem,
W którego jednym rzucie wszystkie czucia razem,
Gdzie przyszłość do przeszłości po jasnym promieniu
Biegnie, jak czuła siostra łączyć się w spojrzeniu —
I wznosząc w górę oczy — doznała — jak lubo
Rozbłąkanej w swym żalu swego szczęścia zgubą,

Gdy już z ziemskich i chęci i strachu ochłódła
Tęsknić szlachetnej duszy do swojego źródła!
Jak miło, by nie wadzić w światłowym zamęcie,
Zniknąć — na zawsze zniknąć pod śmierci objęcie!
A ktoby widział wtedy jej twarz promienistą,
I smutnego miecznika duszę przejrzał czystą,
Te lipy rosochate — starodawne stroje,
Których dla wyobraźni tak przystoją kroje —
A ktoby widział jeszcze jak jasność i wonie
Męczeńskim wieńcem nagle oblekły im skronie —
Oh! może się przenosząc w odleglejsze wieki,
Świetniejsze okolice, kraj sławny, daleki,
Nad brzegami Jordanu, pod palmy drzewiną,
Usiadłby zamyślony z hebrajską rodziną!
I w spólnictwie niedoli czując trwogę świętą,
Poznał — tęż samą rękę, wieczną, niepojętą,
Co swe łaski i kary zsyła lub odwleka;
Też same zawsze troski wygnańca — człowieka,
Któremu nawet w szczęściu jeszcze czegoś trzeba,
I tylko wtenczas błogo — gdy westchnie do nieba!

XII.

«Ojcze! ja nazbyt długo w miłych myśli kole
«Obłąkałam się dzisiaj — a na twojem czole
«Ciemne następstwo zgryzot zawsze się przebija;
«A kiedy radość mignie, to zaraz i mija,
«Jak promyk co z obłoków na wyniosłe góry
«Błyśnie — i znów go skryją wiatrem gnane chmury
«Oh! czemuż już nie spocznie twoja głowa siwa
«Tu — na łonie? Nie bój się — teraz żal nie spływa
«Jak wtedy, coś w mych rękach usnął zmordowany,
«I wstał, schylonej córki łzami zapłakany!
«Sroga nieszczęść igraszka — i tak zżółkły parość
«Popsutym karmił sokiem swego dębu starość:
«I tak zaparte czucia długiem uciśnieniem,
«Rwąc tamę mej rozwagi, lały się strumieniem.
«Ah! jakże to boleśnie nazad się obrócić,
«Widzieć rozpacz grożącą, i nie módz się wrócić!
«Ah! jakże to okropnie w przymusie zostawać,
«Ręką, co chce lękarstwo, truciznę podawać!
«Ojcze! drogi mój ojcze! czyż już żadnej chwili,
«Nigdy ci twoja córka, nigdy nie umili?
«Gorzka jej była dola — ale to już przeszło,
«Patrz jakie słodkie światło we mnie się rozeszło!

«I uśmiech biega w twarzy, niż kiedy, zabawniej,
«I twój pragnie obudzić — jak w szczęściu — jak dawniej.
«Nieraz ja sobie wspomnę te dziecinne lata,
«Tak lube! tak ulotne! i mojego tata,
«Jak czasem zasępiony po trudach spoczywa;
«Aż raptem u dziewczynki wesołość się zrywa
«I wciska mu się w serce — powoli — nieznacznie —
«Póki się nie rozjaśni, i śmiać się nie zacznie. —
«I gdzież to się podziała tej dziewczynki władza?
«Pierwej zganiała chmury, a teraz sprowadza;
«I gdzież to żywy, czysty strumyczek upłynął?
«Mruczał na swą nikczemność, a w jeziorze zginął.
«A nasz śliczny kanarek gdzież to się obraca?
«Chciał w ogniu piórka złocić i więcej nie wraca.
«O! póki ten co w mojem na zawsze był sercu,
«Nim go moim nazwałam na ślubnym kobiercu —
«O! póki ten, co jemu w uczucia się wplatać,
«Brzmić w szlachetnych pomysłach, w westchnieniach ulatać,
«W spojrzeniach czuć się światłem i życia potrzebą,
«Było więcej niż szczęście, było dla mnie niebo —
«Ten, co pączek tkliwego, lubego marzenia
«Rozwinął swoim wdziękiem, ocucił z uśpienia,
«Pił jego świeżą rosę, a na jego kwiecie
«Zostawił łzę wdzięczności, której czas nie zmiecie.
«O! póki ten mój miły, ten świat mojej duszy,

«Łańcucha naszych węzłów swą wzgardą nie skruszy,
«Wierny zostanie cnocie, miłości, pamiątkom,
«A gdy znikł pałac szczęścia, wierny jego szczątkom —
«Jeszcze się dla mnie życia nie zamknęło wieko:
«Jeszcze myśl jego o mnie, chociaż on daleko,
«Płynąć będzie tajemnie w umarłe uczucia,
«I jak cudowny balsam bronić od zepsucia.
«I tę straszną ofiarę — i to rozdzielenie —
«Zniosę — cierpliwie zniosę — póki nasze cienie
«W słodkich, czystych krainach złączone na zawsze,
«Ludzi już nie zobaczą — lecz niebo łaskawsze!»
Rzekła — i jak w stojącej a popsutej wodzie,
Wzruszone nagle męty osiadły na spodzie,
Z serca jej wyszły czucia, co w łzach długo mokły —
I zielonym odcieniem jej bladość powlokły.
«Wolałbym dźwigać więzy u brodacza Turka,
«Niż żeby mi tak marnie więdnieć miała córka;
«Wolałbym w ciemnej turmie pewnej czekać zguby,
«Niźli patrzyć spokojnie na te smutne śluby:
«Alboż to naszej Polsce braknie na młodzieńcach,
«Co to pannom umieją wyskoczyć w rumieńcach,
«I tak jak dawniej było — rycerskie kolano
«Raz w życiu tylko ugiąć — po wianek, za wiano!
«Nie, Marjo! nie trza wzdychać—twego nie obrażam:
«Mężny jest i cnotliwy — wiesz że go poważam;

«Lecz mnie jego rodzica pycha niecierpliwi,
«A kiedy łzami Marji swoje serce żywi,
«Ha! toć i u mnie szabla nie czczym tylko blaskiem:
«I mignie mu pod oczy święconym obraskiem —
«Taż to u naszej szlachty dawne przywileje:
«Skrzesać ognia w pałasze, gdy przyjaźń ściemnieje,
«Przyjaźń? a nasze hufy nie z sobą na sejmie;
«A nasze *Veto* krzyczy jeszcze i w rozejmie!
«I gdyby kraju napaść, z Hetmanem umowy
«Nie rzuciły mnie wówczas Szwedowi na głowy:
«I gdyby twoja Matka (daj jej niebo Panie!)
«W swe rańtuchy nie skryła młodych serc kochanie:
«A niewieścim w błyskotach, tajemnicach, smakiem,
«Nie zawarła tych związków z swych matron orszakiem —
«Nigdyby w moje kopce wróg się nie mógł schować:
«Anibym jego złości dozwolił grasować.
«Bo cóż to ja zastałem? żonę zmiotła kosa —
«A córę — szczep jedyny — z łez polewa rosa;
«Dla starej karabeli zbyt to wielkie dziwy,
«Znosić tak ciężkie razy, los tak obelżywy.
«Alboż choć raz do serca me dziecię przytulił?
«Alboż młodością — wdziękiem — choć raz się rozczulił?
«Nie — od domu, imienia, ze wzgardą odgania,
«I teraz w Rzymie szuka ślubów rozwiązania;
«O! co tak to najlepiej! i mnie to rozwiąże —

«Wysunie raźna młodzież, i ja za nią zdążę,
«Choć może mniejsi w liczbie, Boga w pomoc wezwą:
«To w końcu tej tam waśni — dzwony się odezwą!»
Otarł znużone czoło, czapkę głębiej wmiesił,
Kiwnął ręką, i głowę czarnym myślom zwiesił.

XIII.

Za wrotami koń grzebie, a we wsi psów wrzawa —
Skąd to kozak przypędził że taka kurzawa?
I zsiada — i na płocie cuglo zarzuciwszy,
Wchodzi w duży dziedziniec, wąsa poprawiwszy.
Na ogorzałej twarzy ostrych chwil wspomnienie:
Prosty jego był ukłon, krótkie pozdrowienie;
Jednak różnym się zdaje od służalców grona,
Poddany — lecz swobodę z ojca powziął łona.
I gdy dumnie spojrzawszy do pana iść żąda,
Śród wiodącej go zgrai jak władca wygląda;
Zwinne jego obroty, kroki jego lekszo,
Bo swoje członki wędził na stepowym wietrze,
A barania mu czapka za każdem ruszeniem,
Miga niby chorągiew czerwonym płomieniem —
Pomiędzy chwast, zarosle — gdzie lipy z okopu
Są i cieniem i trwogą poziomemu chłopu —

Aż przed pana Miecznika stawi się z orszakiem.
A koń rży, jak za matką tęsknie za kozakiem!
«Czy masz pismo?» — «Jest Panie — i jeszcze list wczora
«Oddałbym nim kur zapiał, bo świsnął z wieczora,
«Ale że czart na stepie tumany wyprawiał —
«To żeby was z Jejmością Bóg od złego zbawiał.»
«Że wasze mi z listami spóźnił się — to gorzej:
«Czyj kozak? co się djabłów albo ludzi trwoży?»
«Alboż wam nie świadoma krasnych czapek sława.
«Co z rodu panom wierna? — Czyj? — Grafa Wacława.»
Czyta Miecznik: gdy w Marji ocknionem wejrzeniu,
Nie czcza tylko ciekawość — życie w przesileniu!
Jej łono podniesione w lekkiej pływa fali,
Co ją do szczęścia niesie, lub szturmem obali;
Jej lica płomień zajął, z pod serca zapory,
Pięknym, lecz przykrym blaskiem — jak suchot kolory.
«O kozaku i koniu niech mają staranie;
«Ja wraz listy odpiszę — waszeć czekaj na nie.»
Na głośno grzmiące słowa słuch miał przytępiony;
Na śliczne czarne oczy spojrzał rozczulony:
Skłonił nisko Ichmościom; i co bądź się zdarzy,
Kozak z służbą odchodząc — wesoło im gwarzy.

XIV.

«Niechaj kto ludzi zgadnie! — jeśli to nie zdrada,
«To mojej biednej Marji radość zapowiada.
«Pisze mi wojewoda w cukrowych wyrazach,
«Że mamy już zapomnieć o naszych urazach;
«Że żałuje za grzechy — nie tylko ogłasza
«Swój afekt dla synowej, ale w dom zaprasza:
«Więcej jeszcze — takiego jak mówi zamęścia
«Syn nie wart, bo zasługą trza się dobić szczęścia,
«Pragnie więć żeby wprzódy w wojennej potrzebie,
«Jakim rycerskim czynem stał się godnym ciebie;
«I gdy właśnie Tatarzy grasują w tej stronie,
«Jemu stawić się kazał w twych wdzięków obronie,
«A tak z laurem u czapki światu się pochwalić,
«Że tę co umie kochać — potrafi ocalić!
«Dziś ma tu z wojskiem ciagnąć.» — «Dziś? ja go zobaczę?
«O Boże! jaka radość! jakże serce skacze!
«Ale na cóż to bitwy? czyż z twarzy wyrazu,
«Że śmiały i szlachetny nie widać od razu?»
«Jednak to rzadko ludzi jak Pan Wojewoda!
«Sam wyznaje się winnym — lecz mnie ciebie szkoda!»
«Ojcze! ja taka blada — on mnie się przerazi —

«Może się dużo zmartwi — może się obrazi —
«Trzaby się trochę przywdziać — jakże znajdujecie?
«Jabym chciała być jemu najpiękniejszą w świecie!»
«Czekaj, czekaj — przed siecią nie złapiesz szczupaka;
«Może tu jeszcze przyjdzie zagrać nam w straszaka:
«Wszakże i ja Tatarów wypłoszyć stąd żądam.
«A dla czego wżdy siedzę? bo się wzad oglądam;
«Że jakieś mataczyny Wojewoda stroi.»
Ale już trąb w powietrzu rozlega się brzmienie —
Słychać zdala chrzęst zbrojnych, a ziemi jęczenie;
Już wyprzedziwszy hufce, co w wolnej szły mierze,
Stanęli jacyś u wrót skwapliwsi rycerze.
«Wacław!» krzyknęła Marja — i prędzej niż strzała
Kirem okryta postać do niego leciała.

XV.

O! jakże szczęście ładnie, jak żywo oświeca.
Młode, szlachetne czoła a nadobne lica!
Jak w pogodnem spojrzeniu jaśniało wspaniale
Wdzięczne serce młodzieńca, w całej swojej chwale!
I na tle przeźroczystem pociechy rozlanej
Słodkie sny przez nadzieję duszy kołysanej:
Mężny — wyniosły — miły — po niszczącej burzy,
Różowy blaskiem tęczy, co mu przyszłość wróży —
Z jakąż lubą roskoszą w każdej żyły biciu,
Ujął w spragnione ręce swój wdzięk cały w życiu!
Z jakże pyszną opieką, tkliwe, drżące łono,
Skrytej, cichej pieszczoty utulił obroną!
Precz złocisty luzaku — weź tego rumaka —
By nie spłoszyć miłości pierzchliwego ptaka.
A ty panie Mieczniku spocznij — moja rada;
Kręci się łza w twem oku i na wąsy spada,
To może już i w boju robi ci się ckliwo?
A Marja? — ah! i Marja czuła się szczęśliwą!
Szczęściem niewiast — dla których słodkie w życiu chwile,
Są jak pogodne niebo — gdy piorun grzmi w tyle!

XVI.

«No panie zięciu!» Miecznik z mokremi oczami,
Błyszcząc radością serca, mówił pod lipami:
«W tym widzę dzikim świecie wiatr pociechę wodzi;
«A ledwo witać zdążysz — żegnać się przychodzi!
«Tą razą nie na długo — mężnie się postawim.
«Ja moich także zbiorę, to się nie zabawim;
«Dobrze mówią że twarda powinność rycerza —
«Kiedy mu zwłaszcza miłość wygląda z pancerza —
«Ależ po krótkim znoju, spokojnej swobody
«Użyć bespieczniej można na wesołe gody;
«Skoro dom moj uczciło takie lube goście
«I w kielich się uderzy — i nie będziem w poście.
«Marja niech się tymczasem w krzątaniu nie leni,
«Suto stoły zastawić — nie szczędzić korzeni —
«Pieprze, bobki, imbiry, cykaty, szafrany;
«Bo to ten piękny rycerz w bakaljach chowany.
«O winie ja pomyślę — i gdy w onym stawie
«Słońce tuż błogi żywot zatopi jaskrawie,
«Jeśli mnie nie zawiodą moje przedsięzięcia,
«Tatar rosę pić będzie — ja za zdrowie zięcia!
«Co teraz to was żegnam; po ciężkim frasunku,

«Milsza jeszcze pomyślność — na cnoty kierunku.
«Ja ludziom oręż rozdam, siebie też przysłonię,
«Ale jak w trąby wrzasną — to zaraz na konie!»

XVII.

Poszedł — na świetnem, zimnem rycerza ramieniu
Sparta śliczna twarz blada, w piór łagodnym cieniu;
Czarne warkocze dźwięczą, bo w łusce pierś harda
Giętką kibić nie ciśnie, choć ściska dłoń twarda;
Stalowa odzież — w świecie i przyjaźń złośliwa,
Wdzięczne serce — to miłość na zbroi spoczywa.
O! jak z spłonionych liców, czułem, chciwem okiem
Patrzał w tę piękną postać pod smutku obłokiem!
Jakby powaby liczył! — i znowu nie wierzy,
Czy mu czas w jego skarbie nie zrobił kradzieży.
Nie, ten uroczy połysk co jej oczy krasi,
Nie znikomy — bo z duszy — chyba go śmierć zgasi.
Lecz gdy kir rycerz dostrzegł, i posępną radośc,
Co przy żałobnej szacie aż ćmi przez swą bladość;
I słodki w górę uśmiech — boleści wdzięk cały;
I na tle czystem — plamy — co łzy wymaczały —
Szczęście się jego prędko owlokło jej chmurą:

To słabszy, wiotszy, bielszy — niż u czapki pióro.
«Gdym w stepowej i w dzikszej umysłu pustyni
«Lubił błądzić, aż pomrok przedmioty zasini,
«Nigdy mi żadna gwiazda nie błyszczała w ślady,
«A koń bił się do domu przez wicher i grady:
«Tyś dla mnie zeszła Marjo! i w brzasku mych myśli
«Świetną drogę twe światło ku niebiosom kreśli.
«O! szczęśliw — pyszny — wdzięczny — że w zalotnem gronie
«Czułość na mnie z ufnością śliczne sparła dłonie!
«O! błogi, że w twem sercu przez mokre źrenice,
«Życia — czucia — aniołów — czytał tajemnice!
«Lecz czemuż ta mgła smutku, której ciężkiem tchnieniem
«Ja oddychał — i ciebie okryła swym cieniem?
«Czemuż we mnie tarń życia kolami nie wrośnie,
«Tobie mdłym pachnąc kwiatem w krótkiej swojej wiośnie?
«I mnie wydarli wszystko — i więcej niż tobie —
«Ty do nieba należysz, ja się błąkał w grobie,
«A czarnem pędzon widmem, gdym jasność postradał,
«Byłbym świętym przedmiotom srogie ciosy zadał.
«Bo z panem Wojewodą nie służy żartować,
«I raz dobywszy miecza, już go nie trza chować.
«Toby się ojców zamek był kurzył szeroko,

«I nie jeden pokrewny oblewał posoką;
«Toby w sercu osiadły ten dym i ich cienie —
«Alebym Marji dopadł przez krew i płomienie!
«Nie drżyj, wszystko minęło, gdym ciebie zobaczył,
«Jeszcze pierwej — jak tylko, żeś moją, oświadczył,
«Tak mi tem jednem słowem serce usposobił,
«Jak gdyby mi nikt — nigdy — nic złego nie zrobił.
«To wziąwszy moją szablę, której blask odsłonię
«Nie prywacie, lecz twojej i kraju obronie:
«To wziąwszy mego konia, co nieraz w te niwy
«Tak szybko mnie unosił — jechałem szczęśliwy.
«Oh! z jakąż ja radością te lipy ujrzałem!
«Jakże ich chłodu dusza pragnęła z zapałem?
«Ty nie wiesz — ty, co umiesz bez chluby łzy koić —
«Co to jest dzikie serce do siebie przyswoić,
«Co tęsknić za dobrocią, a wdzięków żałować,
«W których spomnieniu umysł chciałby istność chować!
«Marjo! czyś ty nie chora? bo masz taką postać,
«Jakbyś się do aniołów myślała już dostać!
«I w nowem udręczeniu, choć się tobą pieszczę,
«Prawie się spytać pragnę — czy mnie kochasz jeszcze?» —
«Czy Marja ciebie kocha? mój drogi, mój miły!
«Więcej niż kochać wolno i niż mogą siły;
«Więcej — niż wątłe serce, gdy jemu już zadość,
«Znieść umie tak niezmierną, niespodzianą radość.

«I gdyby nie Tatarzy co mi w oczach błyszczą,
«I gdyby nie ich strzały co mi w uszach świszczą,
«Tak mi lekko, tak słodko, tak mi nic nie trzeba,
«Jakbym w twojem objęciu leciała do nieba.
«Czy Marja ciebie kocha? pytaj się jej cienia,
«Czem dla Marji świat cały bez twego spojrzenia?
«Czem dla Marji świat przyszły — bez twego spomnienia?
«Nieraz w zmysłów zamknięciu, nad tą dużą księgą,
«Zniżona całem czuciem przed Stwórcy potęgą,
«Gdym chciała ciebie stłumić modlitwy pociechą,
«Zaraz mi brzmiało, jakby — twego żalu echo!
«To może pan Bóg skarze tak żywe kochanie,
«I tatarska ci strzała w serce się dostanie —
«Widzisz ten jasny promień? co z liści osnowy
«Ciągnie swój drżący połysk między nasze głowy?
«Ten promień żywi — zdobi — każdego weseli;
«Czemuż gdyśmy złączeni — on jeszcze nas dzieli?
«Próżno, próżno, mój luby — choć usta z ustami,
«Patrzaj — chyli się z liściem, i jest między nami.
Ah! śród uniesień bitwy i zwycięstwa wrzawy
«Przypomnij sobie drogi, że promień twej sławy
«Tak czysty, taki świetny, jak słońce na niebie,
«Jaskrawym swym wieczorem noc spuści na ciebie —
«Oh! niechaj pierwej Marję w ciemnościach zagrzebie!

«Nie prawdaż mój Wacławie? ty będziesz odważny,
«Stały, wytrwały, dzielny — ale i uważny:
«A gdy już moje oczy wdrążone zgryzotą,
«Długo patrząc w swój żywioł, swe życie rozplotą,
«Gdy serce wytchnie z trwogi przy piersiach bez stali —
«To może się na miłość Wacław nie pożali?
«Cieszyć się twą radością — twój smutek łagodzić —
«Nie myśleć, tylko o tem, w czem tobie dogodzić —
«Być twoich chwil osłodą — czasem ich ozdobą —
«Żyć dla ciebie i w tobie — umierać przed tobą
«I w tej ostatniej chwili, choć w cierpień natłoku,
«Gasnącym wzrokiem szczęście składać w twojem oku —
«A gdy nie wolno z tobą, żyć w twojej pamięci —
«To Marji cała miłość, wszystkie Marji chęci.
«Skoro mi szczęśliw wrócisz, mą harfę nastroję;
«I przy blasku księżyca usiadłszy oboje,
«W tkliwej, smutnej, jak lubisz, unosząc się nucie,
«To co nikt nie wyraził — przywłaszczym uczucie,
«A! — z jak okropną trąby zagrały żałobą!
«O! nie rzucaj mnie znowu! oh! zabierz mnie z sobą!»

XVIII.

Padła w drogie objęcia, i wygiętą kibić
Żal z taką drżącą trwogą do niego chciał przybić,
Taka mdłość w bladych licach, a śliczne ramiona
Tak go czule garnęły do słodkiego łona —
Że gdy z tych smutnych pieszczot wydzierał swą wolę,
Jakby je zrywał z serca, takie w niem czuł bole.
Nie — zostać niepodobna — chyba sławę skazić,
I zawdzięczając miłość na wstyd ją narazić!
Lecz, oh! jakże głęboka, jak posępna żałość,
W rozpaczy swej kochanki hartować swą stałość!
Ani jej wszystkich wdzięków pożegnać był w stanie;
Ni czasu w marnych jękach przeciągać rozstanie!
Woła do chwały trąba, siwy wódz go czeka,
Burczą rozpięte znaki, zwycięstwo ucieka,
Powstał — złożył swą lubę — dzikim ogniem błysnął —
Białą omdlałą rękę do ust swych przycisnął,
Jakby w jej szczupłe, gładkie, roskoszne ugięcie,
Chciał wrazić wszystkie czucia, w swych uczuć zamęcie.
Już odszedł — wziął spokojność — przed wzrokiem co czuwa,

Lśniącą, wyniosłą postać krok każdy usuwa.
Już w jego próżnem miejscu, zadumana, blada,
Ciszę budząc westchnieniem, samotność usiada;
A na odłogu szczęścia, zgryzota korzeni
Swe kolczyste łodygi robaczliwej rdzeni.

XIX.

Dosiadł bystrego konia, lecz troskę miał w oku
Młody Wacław, i w pierwszym osadził go skoku:
Dosiadł bystrego konia, lecz spojrzał wesoło
Stary Miecznik — i w pędzie zawinął nim koło;
Za niemi brzmią puzany — za niemi, za niemi,
Zrywają się rycerze jakby ptaki z ziemi.
Hasa szlachecka młodzież na wroga Tatara —
Sunie się towarzystwo, i w szeregach wiara,
Pancerni i husarze — za nimi kozaki,
I z spłoszonemi końmi harcują luzaki.
Patrzaj pyzate dziecię z pod słomianej strzechy,
Niech ci widok żołnierzy zaszczepia uśmiechy:
To może dziki owoc zerwie potem wojna.
A ty matko co kłaniasz, bądź zdrowa, spokojna,
Nie trwóż się szczękiem zbroi, długiemi dzidami.
Zapał polskiego wzroku ugasza się łzami.

Już we wsi tylko kurze — jeszcze słuch łoskotem
Drga, dźwięcząc przygłuszony i koni tupotem.
Już we wsi kurz osiada — jeszcze przerywanie,
Zdala wojennych rogów dolatuje granie.
I cicho — jak na sercu śmierć swój obraz kreśli;
I pusto — smutno — tęskno — jak u Marji w myśli.
Wzniosła swą lekką postać do góry, do góry —
Nic nie widać — tylko wiatr szare goni chmury:
Zniżają się kolana, prośba ręce składa,
Z oczu w niebo utkwionych kroplami żal spada;
I cicho — jak modlitwa w łono Boga płynie —
I pusto — smutno — tęskno — jak gdy szczęście
minie.

PIEŚŃ II.

On Conrad's stricken soul exhaustion prest.
And stupor almost lulled it into rest.

Byron.

I.

«Bujno rośnie, odludnie kwiat stepowy ginie;
«I wzrok daleko, próżno, błądzi po równinie;
«A w niezbędnej zgryzocie jeśli chcesz osłody,
«Chmurne na polu nieba, i cierpkie jagody!
«Idź raczej w piękne mirtów i cyprysów kraje;
«Codzień w weselnej szacie u nich słońce wstaje —
«U nich w czystem powietrzu jaśniejsze wejrzenie,
«I głosy rozpieszczone, i roskoszne tchnienie.
«U nich wawrzyny rosną, i niebo pogodne,
«I ziemia ubarwiona, i myśli swobodne:
«A na kształtnych budowlach, męże wieków dawnych
«Stoją w bieli — i pyszni z swoich imion sławnych.
«Zapraszają zdaleka w czarowne zwaliska
«Bogów i bohatyrów — pająków siedliska.
«Tam, jeśli dawnych rzeczy myśl w tobie głęboko,
«Może w ten śliczny błękit wpatrzywszy twe oko,
«Słodycz w rozpaczy znajdziesz i lubość w żałobie,
«Jak uśmiech ust kochanych w śmiertelnej chorobie.
«Ale na pola nie chodź gdy serce zbolało —
«Na równinie mogiły więcej nie zostało —

«Resztę wiatr ukraiński rozdmuchał do znaku —
«To siedź w domu, i słuchaj dumek o kozaku.»

«Moje młode pacholę, gdzież to ty wędrujesz?
«Czy z Ziemi Świętej wracasz, że tak utyskujesz?»

«Oh! nie — ja wszystkim obcy śród mojej ojczyzny —
«I śmierć mi zostawiła czarne w piersiach blizny —
«I świata jadłem gorzkie, zatrute kołacze —
«To mi ciężko na sercu, i ja sobie płaczę.
«A kiedy się rozśmieję — to jak za pokutę:
«A kiedy będę śpiewał — to na smutną notę.
«Bo w mojej zwiędłej twarzy zamieszkała bladość,
«Bo w mej zdziczałej duszy wypleniona radość —
«Bo wpływ mego anioła grób w blasku zobaczy.»
«To czegoż chcesz pacholę?» — «Uciec od rozpaczy.»

II.

Stało młode pacholę, pod płotem zostało,
Na smutek co się skarży uważają mało,
A ten co z niem rozmawiał na wrotach oparty,
Wyszczerzył w inną stronę wzrok cały otwarty —
Skąd w różnofarbnych strojach, huczne czyniąc wrzaski,
Niespodzianym orszakiem zbliżały się maski.

1.

«Czy znasz weneckie zapusty?
«I w noc, i we dnie,
«Wesołe, szalone, przednie;
«Maska twarz kryje — a kto się pyta
«O sprawy czyje, tego przywita
«Wrzawa, śmiech pusty.
«Żywo, radośnie,
«Skrycie, miłośnie,
«Staruszek Doża, Arlekin młody,
«Dziewczyna hoża, szuka osłody,
«Matrony, ... , oszusty,
«Swobody —

«A kryle łodzie
«Czernią na wodzie.
«Wrzawa, śmiech pusty;
«Czy znasz weneckie zapusty?»

2.

«My sobie jedziem kulikiem;
«I w noc, i we dnie,
«Wesołe, szalone, przednie.
«Maska nas kryje — kto chce wiedzieć
«Skąd my i czyje, to odpowiedzieć
«Śmiechem i krzykiem.
«Szczera ochota
«Otwiera wrota;
«Bo Krakowianki, i pielgrzym stary,
«Żydzi, Cyganki, uderzą w pary;
«Wróżki, djabli, nie oszusty,
«W puhary:
«Lecim saniami,
«I jadą z nami
«Wrzawa, śmiech pusty;
«Czy znasz ty polskie zapusty?»

«Ale tu wejść nie można — teraz nie zapusty —
«Pan Miecznik na Tatarach, to i dworzec pusty.»
Tak stary sługa wstrzymał tych przychodniów śmiałość;

I znów rozparł na wrotach niewzruszoną stałość.
Lecz gdy grać, śpiewać, piszczeć, grzechotki potrząsać
Poczęły wszystkie larwy — a nogami pląsać,
I łączyć obce stroje, papierowe czoła,
Wzrok żywy, rysy martwe — w migające koła,
I farby, blaski, cienie, rozwijać w polocie,
I skoczno, zwinno, huczno, rzucać się w obrocie;
Tak mu w szumiącej głowie myśl wzięła tańcować,
Że patrzał, a nie wiedział jak się pomiarkować:
Śmiał się z Żydów, Cyganek; bał Wróżek z Djabłami,
I chciwie łapał ruchy — i mrużył oczami. —
A maski przed nim skacząc mijały się żwawo
A maski w nim ciekawość syciły obawą.
Aż wykrojone usta zadmuchawszy w rogi,
Opuściły swe ręce — zatrzymały nogi —
I głosy ostre, fletni umilone wtórem,
Wrzasnęły tę piosneczkę niedobranym chórem.

«Ah! na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie,
«Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

«A gdy się troski do duszy wkradną,
«Hucząc w niej chmury czarnemi,
«A gdy nieszczęścia na kogo spadną;
«I postać wzniosłą, szlachetną, ładną
«Smutek nachyli ku ziemi:

«O! niech na chwilę złość się jûż chowa,
«Rany sztyletem nie cuci . . .
«Niech choć przy zgonie zabrzmią te słowa:
«Wróci spokojność — wróci!

«Bo na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie,
«Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

«Albo gdy nieba cud nad chorobą,
«Gołąb — od przekleństw odleci;
«I władzę życia zabierze z sobą:
«A wyschłe lica nadmie żałobą,
«Wprzód nim gromnica zaświeci —
«Niech nikt, by uśpić zgonu boleści,
«Tryumfu pieśni nie nuci . . .
«Chyba te słowa w końcu umieści:
«Wróci twój anioł — wróci!

«Bo na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie,
Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

«A gdy kto chętny w drugich obronie,
«I sam się w przepaść zagrzebie?
«Krótka stąd radość w zawiści łonie;
«Choć złe i dobre w grubej zasłonie,
«Sąd ostateczny jest w niebie.
«Może w kłopocie i silna głowa

«Posępnie kiedy się rzuci . . .
«Niech z ust życzliwych brzmią wtedy słowa:
«Wróci wesołość — wróci!

«Bo na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie,
«Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

«A gdy kto, dążąc z dalekiej drogi,
«W mieszkanie przyjaźni zajdzie,
«I już w uściskach topić ma trwogi —
«Lecz ciche, puste, przebiegłszy progi,
«Twarzy kochanej nie znajdzie:
«Więc drżąc, czy się co złego nie dowie,
«Spuszczone czoło zasmuci . . .
«Niech choć gościnność kręcąc się powie:
«Wróci gospodarz — wróci!

«Bo na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie.
«Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.» —

«Ha! Pan Bóg święty z wami! jeśliście nie Duchy,
«To wasze pstre maszkarki wesołej otuchy;
«Albož to nam pierwszyna? wszak nieraz kuligi
«Po całych tu miesiącach skakały jak frygi:
«Prosim — Jegomość wróci — a choć nie jest w domu,
«Na winie i pierzynie nie braknie nikomu.»

Weszły — nisko kłaniają — w parach się prowadzą —
Obzierają się w koło — i kupią i radzą.

III.

Słońce już wówczas łuk swój zbiegając szeroki,
Czerwonym blaskiem szare barwiło obłoki!
A żółtem drgając światłem po ziemi i wodzie,
Na swym bogatym tronie płonęło w zachodzie.
Już jego pełne dziwów nie razi spojrzenie,
Lecz łagodne, widome rozsiewa promienie;
I w krótkiem pożegnaniu, nim w głąb się zagrzebie,
Śmiertelnym oczom patrzeć pozwala na siebie;
Jeszcze — w chwili ostatniej nie znika z pośpiechem,
By wszystkie twory życia napoić uśmiechem;
Jeszcze wziera przez szyby w mieszkanie człowieka,
Jak wzrok tęsknej przyjaźni co w podróż ucieka;
I purpurowe szaty rzuciwszy na chmury,
Nurza swe czyste łono w tajniki natury —
Gdy noc, zazdrosnym palcem ścierając dnia ślady'
Ciemny płaszcz wlecze z tyłu, dla zbrodni i zdrady.

Lecz gdzież bawi pan Miecznik? właśnie to jest pora,
W której przyrzekł po bitwie wziąść się do gąsiora;

I miał żywej radości w sercu nie uchować,
Dom zebrać, córę szczęścić — bo zięcia częstować;
I piękna mu gromada przybyła w gościnę:
Jakąż niewczesnej zwłoki może dać przyczynę?

IV.

Od chwili co zwycięstwa odkryła się meta,
Od chwili co w niej dosiadł żartkiego dzianeta,
Od chwili w której trąby w wszystkie jego żyły
Głosem dzielnej przeszłości jak grom uderzyły;
I widział raźną młodzież — i słyszał chrzęst broni,
Trzask goleń, szum proporców, a chrapanie koni;
I dążąc w drużbie z zięciem, gdzie im sława świeci,
Czuł to, co stary orzeł gdy pisklę z nim leci:
Od chwili co mu w myśli, wstecznym kręcąc biegiem,
Tatarskie zbrodnie krwawym stanęły szeregiem —
Hardość w zmarszczonem czole, ogień był w źrenicy,
Czapka na lewem uchu, zniszczenie w prawicy;
Gdy chciwa walek dusza przeraźliwie strząsa
Każdy włos najeżony u siwego wąsa.
Jak tylko wyszli za wieś — mieczem z pochew świsnął;
I wzrokiem, coby tchórza do ziemi przycisnął,

W bitne hufce patrzając że aż serce rośnie,
Do uważnego słuchu zawołał donośnie:
«Panowie szlachta! miejscy! bracia szeregowi!
«Wiem żeście spaść na wrogów jak piorun gotowi,
«A ktoby się miał straszyć tatarskiego tańca,
«A ktoby życie szczędził srogiego pogańca,
«Niech mi tu precz na szkapie do domu wyskoczy —
«Bobym mu potem kordem zamalował oczy!
«To szybko, łacnie, śmiało — strzałki wystrzelają —
«Bóg wiara — ufność szabla — i łby pospadają,
«Jak kłosy, co to niby migocą się świetnie,
«Nazajutrz leżą zwiędłe, gdy kosa je zetnie.
«Ale nikt nie potrafi jeść kaszy spokojnie,
«Jeśli wybić szarańczy nie umie na wojnie;
«To cicho — bacznie — mądrze — aż gdy huknie w trąbie,
«Wpaść obces, i pokazać że to Polak rąbie;
«Wtedy dopiero każdy niech mi ryb nałowi,
«Panowie szlachta! miejscy! bracia szeregowi!»

Potem jadący szłapią z swoim zięciem w parze,
Naradzał się po cichu w wojennym zamiarze:
Mówił szpiegów wywiadki; tłomaczył jak, kędy
Sił wzajemnych w natarciu połączyć zapędy;
Jak korzystać z zwycięstwa; w przypadku odporu,
Jak używać na pogrom ucieczki pozoru.

Słuchał zajęty Wacław — gdy ręka i głowa,
I każdy rys Miecznika popierały słowa:
Rzekłbyś, patrząc w ich obraz, że sztuka malarza
Z dobranych przeciwności czarowną myśl stwarza,
Żywość w starcu, w młodzieńcu rozwagę wyraża.

V.

Tymczasem wieś minąwszy, z bitej schodząc drogi,
Coraz się, coraz głębiej wpędzali w odłogi —
Gdzie wiatr ziarna zasiewa, czas płody przewraca,
Nie zbiera plonu chciwość, ni schyla się praca —
Samotne — ciche — błogie — dziewicze ich wdzięki
Kwitną skrycie, od człeka nieskażone ręki;
Niebo je obejmuje — gdy w całym przestworze,
Rozfarbionej żyzności rozciąga się morze.
Tam wódz stary jak żeglarz, podług biegu słońca,
Szybował swójem wojskiem w kierunku bez końca.
Łamią się rosłe trawy, krzą chwasty, a zioła
Składają pod kopyta balsamiczne czoła —
Ale przez siwe wąsy nie przechodzą wonie —
Ni lubość tchu słodkiego w groźnem biega łonie;
Wojna, wojna zajmuje wszystkie jego władze,
Cześć prochom pól ojczystych, zemsta ich zniewadze!

Ani się wwieść dozwolił w fałszywe zapędy,
Gdy zszedł tatarskich śladów kręcone obłędy —
Co śród gęstych zarośli, niedościgłe szlaki
Tłoczą na wszystkie strony, dla mylnej poznaki —
Lecz w poprzek przeżynając ich sztuczne drożyny,
Uśmiechnął się — jak strzelec gdy pewny zwierzyny.
Wkrótce, złączone hufce, w umyślnym fortelu,
Rozdzielił na dwie części — dla jednego celu:
Do zostających czapką kiwnął pożegnanie;
Z swoimi w bok się rzucił na niezmiernym łanie;
A kryjąc się w bodjaków rozkwitłych ogromie,
Już rycerze bez koni w czerwonym poziomie —
Już popiersia wędrują na skrwawionym spodzie —
Już kołpaki — proporce — już znikli jak w wodzie.

VI.

I Wacław, pan wszechwładny, śród stepów prze-
strzeni
Sam buja w swojej woli — czegóż tak się mieni?
I Wacław dziki, mężny, śród dzikiej natury
Wiedzie hufce do chwały — czegóż tak ponury?
Śpiewa mu głośno wicher, a Wacław w nim nieraz
Lubił kąpać swe oczy — czemu spuszcza teraz?
Smutny on, zamyślony, choć pełen ochoty,
Nie spojrzał nawet jeszcze w swoje wierne roty.
A dla czego? sam nie wie — tylko że mu sława,
Łzami Marji spłakana przed oczami stawa,
Tylko że jego serce w takiem nagle drżeniu,
Jakby kto kir przeciągnął w śpiącego ocknieniu
I w strachu go zostawił — w trosce — i zdziwieniu.
Szybkim głowy pomiotem strząsnął złote włosy —
Jakby się pozbyć starał zimnej na nich rosy;
Szybkiej konia w wyskoku przychylił się woli —
Jakby ulecieć pragnął od swojej niedoli;
A w jego mglistych oczach taki blask w tej chwili,
Jak kiedy dusza czucia najżywsze przesili,
I wszystkie razem smutki w zwycięstwie rozżarzy
Światłem nieśmiertelności na śmiertelnej twarzy.

To jakiekolwiek myśli, wspomnienia, czy trwogi,
Żal, słabość, czy widziadła — zbijały go z drogi,[1]
To jakiekolwiek losy zwalczą jego czynność;
Już teraz miłośnicą — rycerska powinność!
Czy duch złego, co ludziom nadziei zazdrości,
Odchylił mu przez chwilę zasłonę przyszłości?
Czy struny, natężone tkliwym władz wysnuciem,
Tknięte ręką nieszczęścia, zabrzmiały przeczuciem?
Może on w boju legnie? — co bądź mu przypadnie,
Jego umysł, ni szabla, nie ulęże snadnie;
A chociaż śmierci oddech mgłą oczy zasłoni,
Rdzy nie będzie na sercu, ni na jego broni.
I jak wstrzymany potok w swoim bystrym pędzie,
Dno porze, i rozwala łożyska krawędzie;
I jako rumak z pęta, gdy lot swój rozwija,
Rwie ziemię, ogień ciska, i wiatry wymija,
Tak Wacław niecofnięty w swym ciemnym zawodzie,
Rozdarłszy tło przyszłości co mu na przeszkodzie,
Tem chciwiej, tem gwałtowniej na sztych się wydziera,
Groźnym pewności wzrokiem w swój oręż poziera.
A jednak, głos straszliwy, choć spojrzenie dumne,
Brzmi w całem jego ciele: — «Zdobędziesz ty trumnę!»

VII.

Jest trosków — kolców — bolów niemało w tem życiu;
I więcej niż na jawie, płynie łez w ukryciu:
A kto się hucznym śmiechem śród jęków odzywa,
Jak szalony w szpitalu — szczęsnym się nazywa.
Lecz gdy umysł szlachetnej uległszy ponęcie,
Z gruzów najdroższych uczuć wznosząc przedsięwzięcie,
Brnie w zdradliwej ufności, a za każdym krokiem
Podkopanych przepaści otoczon widokiem —
Gdy ptak z karmem pisklęcia trzepoce swe skrzydła,
Widzi chłopię z pałeczką, a na szponach sidła —
Gdy sroższej od najsroższych wpatrując się męce,
Sama nawet odwaga załamuje ręce —
A z tysiąca blizn czarnych co jej w sercu cięży,
Gniazdo syczących na świat wylęga się węży —
Gdy złość w swojem szaleństwie zrobiła zabawę,
Wydrzeć życie w kaduku, ale pierwej sławę;
I nie tylko obecność tarza się w ohydzie,
Przyszłość jeszcze otruta rozczochrana idzie —
Komu? anielskiej duszy; co za to przeklęta,
Że cukrem przyjmowała drapieżne zwierzęta —

Gdy każdy dobry przymiot w gorzki żal się zmienia—
Większe to niśli ziemskie, piekielne cierpienia!
Czy te, lub inne jeszcze dotkliwsze katusze,
Zlały swój wrzący ukrop na młodzieńca duszę.
Ci co za nim rzędami w lśniącej gonią fali,
Na smutek swego wodza nie wiele zważali:
Każdy myślał — i chociaż różnica w sposobie,
W tem przecież podobieństwo — że każdy o sobie:
A jednak każdy gotów, z wzniesionem żelazem
Rzucić się w ciennik śmierci — za jednym rozkazem.
Szli — w milczeniu — w porządku — konie koniom w tropy,
Krzyżujących nóg stawiąc migające stopy —
Kędy ich długim sznurem, wedle swojej chęci,
Po odludnych manowcach młody Wacław kręci:
Przez niezmierzone niwy — tam gdzie już równina
Zda się kończyć, i znów się w płaszczyznę zagina.
Dochodząc — naprzeciwko jasnego obłoku,
Jak rycerze powietrzni wydali się oku.

VIII.

Lecz cóż widać na wzgórku? z bliskiego rozdołu,
Kłęby dymu z iskrami buchały pospołu,
Wiją olbrzymie słupy, co zgięte u góry
W ciężkie — czarne — skrwawione — rozchodzą się chmury.
Lecz cóż słychać na wzgórku? w przyległej nizinie,
Płacz, jęki, krzyk rozpaczy, w słomianej dziedzinie,
Co biorąc serce w kręgi przeraźliwem brzmieniem,
Nawet pierś w stal oprawną, podnoszą — westchnieniem.
«Baczność — do broni wiara — chorągiew rozwinąć—
«Tatarzy wieś rabują — zwyciężyć lub zginąć!»
I nagle jak wodoskok, rycerze zajadli
Z błyszczącym szumem z góry na dolinę wpadli.
Tak — pożar z rąk łupieżców wieś całą ochłonął:
Gdy lud zlękły, bezbronny, w krwi i łzach utonął.
Lecz nie czas koić boleść, ni mienie ratować,
Lub pojedynczo z wrogiem o zdobycz harcować,
Bo już — przez swoje czaty, ich Han ostrzeżony,
Zebrał znaczniejsze hordy w taniec ulubiony.
Tam — za wsią — stoją — całe zakrywają pole —
Bór w lewo — strumień w prawo — a oni w półkole.

Widzi ich dobrze Wacław, ale razem zważa.
Że napad uchybiony na zgubę naraża.
Jak się cofnąć przez ogień? Ej! któż zdoła minąć
Co mu niebo przeznaczy — zwyciężyć czy zginąć?
«Czyja wola to za mną» rzekł, i spiął rumaka.
Co nim się rzucił w pożar, żżyma się i wskaka
(Mniej ów niśli Graf Wacław odważny i dziki).
Jakżeby wodza polskie odstąpiły szyki!
To i oni w płomienie — śród blasku pożogi,
Przez głownie i zarzewia szukają swej drogi.
Już za wsią — i wraz, szybko, sfornie, lekko, śmiało,
Rozwinęło się wojsko i w linji ostało:
Zagrzmiały wszystkie trąby jednym strasznym dźwiękiem —
Porwały się kopyta z jednym głośnym brzękiem,
A prychające konie i schylone ciała
Jednym pędem uniosła i zemsta i chwała.

IX.

Dzielne było natarcie: Tatarskie szwadrony,
Ich księżyce, buńczuki z końskiemi ogony,
Ich futra wywrócone, ogromne ich łuki,
Płeć śniada, wąsy zwisłe a czarne jak kruki,
Ich nasępione rysy, przymrużone oczy,
W których śnie srogość zwierząt z ludzką się jednoczy,
Cały ten widok wreszcie w dzikość okazały —
Pożar — stepy w około — świszczące już strzały —
Żadnego, albo raczej jak z bodźców odzienie,
Takie na czuciach polskich zrobiły wrażenie.
Pędem burzy lecieli; lecz nim przyszło z bliska,
Ludziom, ostrza się dotknąć — koniom, pyskiem pyska —
Gdy w pół obręcz wpadali — wsławionem prawidłem,
Skrzydło tatarskie z tyłu zbiegało się z skrzydłem:
«Alla hu!» wrzasły hordy, i tysiączne roty,
Na opasanych — strute wyrzuciły groty.
«Hura!» krzyknęła wiara, i lotem sokoła
Chmurę strzał przeszywała — w środku tego koła.
Dochodzą, już dochodzą — zbitym w rzędy tłumem —
Lasem dzid najeżonych — z huciem, z trzaskiem, z szumem;

Szczęk, krzyk, jęk, łoskot, wrzawa, powstał kurz, a ściana
Przebitych Bisurmanów wali się złamana.
Tratują ludzi konie; koncyrze, kopije,
Kolą pod kopytami niewiernych jak żmije:
Zapał głowy ogarnął, stal błyska, krew broczy;
Śmierć trudzi się, zdmuchując wywrócone oczy!
Wszystko to chwilę trwało — bo z boków, i w tyle,
Barbarzyńcy nastają w niezliczonej sile.
Czas ginąć hufcom polskim; młody wódz je zbiera —
Zachęca ich — szykuje — obraca — naciera —
Dopiero mięszanina — każdy obskoczony,
Wirem męstwa na wszystkie wywija się strony,
Rąbie, sili, morduje, z nieprzebraną zgrają —
Jeden dziesięciu zwalczył, krocie nań wpadają,
Stęk zawziętego mnóstwa, okropne ich wrzaski,
Tuman zewsząd, a mieczów latających blaski!

X.

W natłoku wrogów, co go od swoich oddziela,
Sam — bez wsparcia — nadziei — świadka — przyjaciela —
Walczył ponury Wacław — i walczył już o to,
Żeby życia co cięży nie oddać z sromotą,
Śmierć miotał, śmierci pragnąc — oh! bo w serca głębi
Pisk taki jak gołębia pod dziobem jastrzębi,
Harmonją jego myśli; lecz czy to z zdziwienia,
Czy z strachu, czy też skutkiem dzielnego ramienia,
Ściskająca go w węzeł niezliczona tłuszcza,
Coraz to w większą przestrzeń przed nim się rozpuszcza;
Widzą — poznają wodza — i każdy koleją
Rzuci się, zmięsza, zginie — zwyciężyć nie śmieją.
I gdy błękitnem okiem rozpoznał młodzieniec
Cofający się przed nim nieprzyjaciół wieniec;
Smutku tylko doświadczył z tej dziwnej korzyści —
Że już jego przeczucie na nim się nie ziści.
Czemuż choć jednej strzały nie mieli w kołczanie,
Coby jadem jaszczurki utkwiła się w ranie?
Żal mu że już uchodzą — życia się obawia —
Goni ich srogie dusze — piersi im nadstawia!

Zaraz, zaraz — otyły, brunatno czerwony,
Han tatarski tam wpada wściekłością spieniony,
Postrzegł, że jego hordy jakaś moc zwycięża,
Postrzega — że to męstwo samotnego męża;
Targa kłaczystą brodę — z rozpaczy w ohydzie,
Gębę krzykiem rozdziawia: O! zgrozo! o! wstydzie!
Na jednego tysiące, z zmarszczoną powieką,
Miecze wznoszą — już lecą — rozsieką! rozsieką!

XI.

Jakież to grały trąby za przyległym lasem?
Jakież to świeże hufy czwałują z hałasem?
Jakiż to nowy rycerz, krzyżowym zamachem
Drogę sobie toruje śmiercią i przestrachem?
Koń ledwo ziemi tyka; włosy rzadkie, siwe,
Wiatr z światłem rozwijają jak komety grzywę;
A w pływających ruchach, w wydatnej postawie,
Szparko bieżący pośpiech o szybkość w obawie.
Jak lwica, opuściwszy swoje lwiątko, skoczy
Zajadłem męstwem, gdy je w pośród ludzi zoczy —
Jak matka, o wygnańcu straciwszy nadzieje,
Gdy ujrzy swoje dziecię, w radości topnieje —
Z takiem zmięszanem czuciem i matki i lwicy,
Z kordem świecącym w ręku, z lotem błyskawicy,

Zdziwionym, zlękłym oczom gdyby jakiej mary
Obok swojego zięcia — Miecznik stanął stary.
Jego hufce tuż za nim; jego przywitanie,
Tobie należy najprzód napuszony Hanie!
Lecą obces na siebie — Polacy, Tatarzy,
W bezczynnem zachwyceniu patrzą co się zdarzy—
Jakiś czas Miecznik zmudził, uderzy — odskoczy —
I znowu w całym pędzie przeciwnika tłoczy:
Aż wybrawszy swą porę, w odwet, silnym razem,
W kark niewierny święconem utopił żelazem.
Spada dzielnym zamachem odmieciona głowa,
Drga oczami, bełkoce niepojęte słowa,
Toczy się, ziewa, blednie i gaśnie — z tułupa,
Co siedzi niewzruszony, krew do góry chlupa!
Powstał krzyk przeraźliwy; pierzchają — koń Hana
Ucieka między hordy z trupem swego pana.
Strach przejął barbarzyńców, grzmią trąby — rzeź grają —
Nowi rycerze gonią — dawni się zbiegają —
Trzask, iskry — świst z połyskiem — huk — wrzask — jęki — rżenie —
A zapylona sława upięknia zniszczenie.

XII.

Krótko już trwała walka — wielu oręż składa,
Więcej legło, płochliwych straż tylna dopada:
Na stratowanej ziemi płyną krwi potoki —
Leżą polskie, kozackie i tatarskie zwłoki,
Jak który upadł, tak mu zostać już niewola,
Dusze k niebu, ich konie rozbiegły się w pola.
Opodal od nich w kurzu kołpaki, turbany,
Tylko miecz wierny przy nich posoką zbryzgany.
O! ty, co twój byt zawisł od współbraci męstwa,
Pójdź słyszeć radość wojny i krzyki zwycięstwa!
Zobacz — jak wpośród trupów, co już robak wierci,
Wąsate twarze sobie winszują ich śmierci,
I nasępione czoła rozwidniają śmiechem,
Co w swym hucznym odgłosie jakby gromu echem!
Chodź — nie drżyj; stanąć przy nich każdemu zaszczytnie —
Krwią wrogów zlana śmiałość tak bujnie w nich kwitnie:
A jeśli w tobie budzi życia poświęcenie
Za kraj swój, za swych ziomków — tylko strachu drżenie;
Jeślibyś wszystko za nich nie oddał w potrzebie;

Opatrz się dobrze wewnątrz — to zlękniesz się siebie.
Chodź — do stalowych piersi twój kaftan wełniany
Przyciśnij z wdzięcznem sercem — i całuj ich rany.

XIII.

Był wzgórek z brzegu lasu, zielenił swe czoło,
I zapach macierzanki rozsyłał w około;
Na nim, schylone brzozy, w swej białej odzieży,
Płakały, gdy warkocze wietrzyk pieścił świeży —
Jak cienie dawnych dziewic przy kościach rycerzy
Tam', pod ich snem mroczące balsamiczne wieńce,
Ściągnęli na spoczynek zwycięscy i jeńce:
Bo w życiu choć ta jedność—że roskosz z cierpieniem,
Trud, nuda, wstyd i sława kończą się — znużeniem.
Z przodu — gasnący pożar, jeszcze czasem ciska
Nagłym, śmiertelnym blaskiem na plac bojowiska!
Z tyłu — słońce już wówczas schowane za borem,
Palącego się lasu dziwiło pozorem:
Szarzały wszystkie farby — kruki gromadami
Zlatywały się krążąc, wrzeszcząc nad trupami —
Czaty porozstawiane — przy ogniskach wrzawa
Migających się ludzi — w końskich zębach trawa.
Jak chrzęst odległych zbroi — a jak orzeł biały,

Siwy, stary pan Miecznik, ale pełen chwały,
Chłodząc odkrytą głowę, pod brzozą tam siedział,
I ponuremu zięciu te słowa powiedział:
«Synu! — co kiedyś z sercem połączon tak blisko
«I masz w niem miejsce syna, miejże i nazwisko! —
«Dziś jakby wszystko wite na szczęśliwej nici;
«Nasz Wacław powrócony — Tatarzy pobici —
«Spokojna Ukraina, bogdaj na czas długi —
«Fortuny to szczodroty nad moje zasługi.
«Lecz kiedy dusza zda się dzierży czego żąda,
«Coś Wasze na zwycięscę smutnie mi wygląda?
«Patrzno, jakże ci pięknie księżyc oto wschodzi —
«Radość sławie, i sercu sfolgować się godzi;
«Siadaj na koń, spiesz wesół, kędy szczera żona
«I wierna wam drużyna przyjmieć utęskniona:
«Ja tu objażdżki dojrzę — a jutro ze świtem
«Brzęknę wam na dobry dzień witanem kopytem.
«Siadaj — twój dzielny rumak prędko cię dostawi;
«Bądź zdrów! niech ci Bóg zawsze jak ja błogosławi!»

XIV.

Powstał z pośpiechem Wacław, i dawnym zwyczajem
Uściskał starą rękę — co jemu nawzajem
Szorstkie, silne, lecz szczere oddała ściśnienie;
I już bystry koń z jeźdźcem przesadza drzew cienie —
A stary Miecznik wziął się do zwykłych pacierzy. —
O! jak ślicznie przez pole młody Wacław bieży!
Srebrny połysk na włosach, na piórach, a w zbroi
Twarz ogromna księżyca malutka się dwoi.
O! jak ślicznie wśród ciszy w naturze rozlanej,
Lecieć z stęsknionem sercem do swojej kochanej!
I każdy przedmiot witać z przychylną pamięcią:
I wszystkie je wyścigać nieścignioną chęcią!
Wtedy to słodkie tony, brzmiące przerywanie,
Śpiew słowika, szmer wody i żab skrzekotanie
W dzikiej, tęsknej, i żywej, i tkliwej muzyce,
Mówią ocknionym czuciom swoje tajemnice.
Wtedy to luby zapach co z kwiatów ulata,
Lekkiem tchnieniem roskoszy mgłę trosków odmiata,
I dusza rozjaśniona, jakby ujście miała
W niebiosa swego twórcy, z kajdan swego ciała.
Wtedy matka natura — wszystko z człekiem dzieli
I wszystko się uśmiecha, i wszystko weseli:

Wtedy w schowanej szabli uraz zapomnienie,
W pysznem spojrzeniu — dobroć, w ustach — przebaczenie!
I tak to leciał Wacław — błogi, gdyby nagle —
Piorun rozdarł w tej chwili jego życia żagle,
Bo by nim wicher świata miotać nie był w sile,
Chybaby szumiał wściekły po zimnej mogile.
I tak to mijał stepy — lecz świetne marzenie,
Co niem ćmi dzieci ziemi szczęścia upojenie,
Oh! zbyt krótkie! Jak widmo wstaje przypomnienie,
I budzi martwą przeszłość, i w wonne kotary
Szepcą dreszcz i niepokój zgromadzone mary.
«Tak ją mdłą, słabą widział: a wszak bez obrony
«Więdnie pieszczony powój — a wszak bez osłony
«Nie trwa tu słodki owoc — i cóż? ledwo wrócił,
«Ujrzał swój raj stracony, i zaraz porzucił!
«Dla czego? dla czczej sławy, której blask nie waży
«Jednego uśmiechnienia ukochanej twarzy!
«Gdybyż przynajmniej w los swój wierzyć miał powody;
«Lecz ledwo burza przeszła, już pewny pogody,
«Niepomny jak to gorzko czas zgryzotą liczyć,
«Płochy, wydarł się szczęściu co mógł odziedziczyć.»
Ah! dalej, prędzej! lekko przez chwasty i rowy
Sunie koń wyciągnięty — a brzękiem podkowy,
Hukiem pędu, błyszczącą postacią rycerza,

Ocknionego wieśniaka pierwszą myśl uderza;
«Ha! ha!» — nim otarł oczy i serca mógł dowieść,
Znikł rycerz i zostawił o upiorach powieść.
I tak to leciał Wacław — szczęśliw, trwożny razem,
Śliczny, straszny — był wiernym śmiertelnych obrazem.

XV.

Do wrót wreszcie koń doparł swe piersi spienione,
I zarżał — nozdrza chłodząc, to w tę, to w tę stronę;
Lecz chociaż księżyc jasny, nie widać nikogo:
Ni giermek do strzemienia szybką skoczył nogą.
«Musi być bardzo późno — niech śpią — trosk nie czując —»
Tak myślał młody Wacław konia przywiązując;
I z tą żywą pociechą, w której serce tonie,
Kiedy już bić ma wkrótce przy kochanem łonie,
I z tem świetnem wejrzeniem, gdzie kona obawa,
Jednym radości skokiem — u drzwi domu stawa:
Ach! ileż wdzięków, pieszczot, jemu się obudzi!
Chwila jeszcze, a będzie szczęśliwszym od ludzi,
Od Aniołów —! Zastukał — raz — drugi — i trzeci —
Trzy razy czujne echo z odpowiedzią leci,
I milczy — to jedyny znak ruchu lub życia,

Który tam drzymiąc, czekał rycerza przybycia;
Ni chodu spiesznych kroków, zgiełku w nagłej mowie,
Ni światła — w ciemnej — cichej — zamkniętej budowie!
Oh! jakże sen ich twardy! Niecierpliwość radzi,
Ze szabla jednem cięciem przez próg przeprowadzi;
Lecz tę gwałtowną radę musiał on odrzucić —
Wnosić JEJ niespokojność, żeby swoją skrócić?
Raczej niech w jego piersiach burz kończy się droga,
Byleby nigdy do niej nie doszła ich trwoga!
Jeszcze stukał — lecz słabiej — bo już w serca niebie,
Rosło anielskie czucie, zapomnienie siebie;
I wolnym odszedł krokiem — nieraz w pośród ciszy
Zatrzymując się nagle czy kogo nie słyszy?
Spojrzał na księżyc w pełni — co jego postawę,
W czarnych, olbrzymich kształtach obalał na trawę —
Jak słodko i spokojnie bieg swój jasny toczy!
Ah! bo na swoje słońce ma zwrócone oczy!
Uchylił rycerz głowę: widzieć mu się marzy,
Jakby szyderski uśmiech w tej pyzatej twarzy.
I tak dumając smutnie, lub nie myśląc wcale,
W odmęcie sprzecznych uczuć, gdzie trwogi i żale,
Miłość, wspomnienia, szczęście, wszystko w zawieszeniu,
Błąkał się w koło domu śpiącego w milczeniu —
Co cichy, głuchy, martwy, a skarb drogi mieści.

Jak te zaklęte zamki arabskich powieści.
Lecz cóż to? już w zupełnej nadziei utracie,
Postrzega ruch nareszcie — w sypialnej komnacie
Widzi otwarte okno i lekka zasłona,
Co tam nocnym tułaczom na straż rozwieszona,
Z nieśmiałego wietrzyka płochliwie urąga,
Wypycha go z pokoju, i znowu go wciąga.
O! jaki luby ogień zbiegł rycerza żyły!
A wszystkie blaski szczęścia do lic pospieszyły:
Jak tu szalonym myślom stawić się oporem?
Trzeba być cnót najczystszych, lub kamieni wzorem!
Nie był jednym, ni drugim — umiał walczyć w boju —
Kochać, być wiernym, wdzięcznym — już Wacław w pokoju.

XVI.

Na nierozsłanem łożu, w żałobnej odzieży,
Rozciągnięta niewiasta uśpiona tam leży,
Ale jej snu twardego wygoda nie pieści —
I jakby nagłą przerwą gwałtownych boleści,
Jeszcze w jej sinej twarzy cierpienie zostało,
Choć spokojne, bez ruchu, wyprężone ciało:
I długie jej warkocze spadały w nieładzie,
Nie w takim, w jaki miłość śpiące wdzięki kładzie—
I smutnie się nadęła wysileniem tłusta,
Jakby się skarżyć chciała, tylko że jej usta
Ścięte silniejszą władzą; a promień księżyca
Co tę posępną postać migając oświeca,
Tak dziką tkliwość rzucał w przymrużone oczy,
Z jaką mizg upiorzycy, gdy kochanka zoczy.
To młoda, śliczna Marja — rycerz przed nią stoi —
Przyniósł jej ziemskie szczęście — i czegoż się boi?
To młoda, śliczna Marja? oh, jakże zmieniona!
Czy już się będzie robak tulić do jej łona?
Ale nie długo Wacław stał tam w podziwieniu,
Prędko się w nim duch oparł swego ciała drżeniu;
Schyla się na jej lica, usta do ust łączy,
I słodycz swego serca roskosznie w nie sączy.
«O! moja droga Marjo! ty zimna i niema —

«A dla nas już jest szczęście» — echo mówi: «nie ma» —
«Marjo! kochana Marjo! w boju mnie widzieli —
«Ojciec mnie z tobą spoi» — echo mówi: «dzieli.»
Znowu ją pieści — rzuci — miłością stroskaną,
Coby się pocieszyła choć westchnień zamianą:
Jej głowa nagłym rzutem na piersi mu spada,
I w uderzonej zbroi jękiem odpowiada.
Krzyczał — szukał ratunku — pusty dom przebiegał —
Tylko się marny zapęd po ścianach rozlegał!
Wraca — znalazł nadzieję — może czy nie zetrze
Mroku z jej czarnych oczu otwarte powietrze?
Lecz gdy silne rycerza unosi ją ramię,
W jakież okropne ruchy jej kibić się łamie!
Nie z tą giętką lotnością, co w dół nie przyciska,
Lecz w całem opuszczeniu świeżego zwaliska.
Zwieszone ręce, głowa, zdrętwiałe już nogi,
Czynią z niej przedmiot straszny, jemu jeszcze drogi.
«Oh! wody! wody!» wołał z przeraźliwym wrzaskiem,
Ogrome drzwi budynku wywalając z trzaskiem.

XVII.

W szarej chwastów zarośli lekki ruch się zdaje —
Rozsuwają się liście i czapka wystaje —
I głowa się podnosi — i stanęło ciało,
Co tam w cichem czekaniu ukryte siedziało,
Młodego pachołęcia, co na świat płakało. —
I wzrokiem rozczulonym patrzy się w rycerza,
Co jego zwiędła młodość podziwieniem zmierza;
Czy strachu, czy uroku, schowane tam siłą,
Nie wiem — wyszło z gęstwiny, i tak przemówiło:

«Niech rycerz drżącem sercem nie pragnie tak wody,
«Bo w niej zgasnął dopiero blask ziemskiej urody:
«To te obrzydłe maski, w swej zdradnej zabawie
«Śliczne łono tej pani zatopiły w stawie:
«A kto raz ludzi porzuci,
«Nigdy już do nich nie wróci.
«Wszyscy domowi — szlachta, panny, giermki, draby,
«Pobiegli w pogoń — drudzy, po księży i baby;
«I dom teraz w cichości — lecz nim zorza znijdzie,
«Mrucząc — kadząc — śpiewając — służba śmierci przyjdzie,

«A kto im raz się dostanie,
«Zawsze już u nich zostanie.
«Zawsze — oh! smutne brzmienie, kiedy srogim losem
«Ciężkiej straty i żalu stanie się odgłosem!
«W miłości i przyjaźni, w każdej życia dobie;
«Tak często powtarzane, a prawdziwe — w grobie:
«Bo kto raz ludzi porzuci,
«Nigdy już do nich nie wróci.»

I podniósłszy na palcach swoją małą postać,
Żeby się rycerzowi do ucha mógł dostać,
Szeptał, szeptał swą powieść — a w twarzy rycerza
Czarna, czarniejsza chmura coraz się rozszerza;
I znów nagle, rozpaczą zaciemnione lica
Zapał gniewu i wzgardy jak piorun oświeca:
Aż w nim powstała wreszcie ta ponurość dzika,
Co patrzy w jeden przedmiot — w trumnę przeciwnika.
Kruszy najświętsze węzły w ogniu swego piekła,
Gdy i w najbliższem sercu trucizny dociekła!
Aż w nim powstała wreszcie ta chciwość szalona
Krwi — krzyku — dzwonów — płomień popsutego łona,
Co domowej niezgody rozpala pochodnię,
I w własnem swojem gnieździe — zbrodnią karze zbrodnię!

Lecz jeśli takie były najwyższe w nim męki,
Zgon najdroższego szczęścia z błogosławieństw ręki —
O! jak bezecnej zemście, co nim słusznie miota
Towarzyszy okropnie rozpacz i zgryzota!
A wszystkie razem bole, w osłupiałem oku
Łączy myśl przeraźliwa — niezmienność wyroku!
Mniej straszna w swem nieszczęściu, od wężów jedzona,
Wzór najsroższych męczarni — postać Laokona.

XVIII.

I tak Wacław od razu wszystko w świecie traci,
Szczęście, cnotę, szacunek dla ludzi swych braci;
I już nigdy swej lubej ze snu nie obudzi.
Co mu miała zastąpić wszystkie cnoty ludzi,
Której blask czysty, słodki, anielskim promieniem
Fałsz przyjaźni — serc próżność — powłóczył złudzeniem.
I tak Wacław pozostał samotny w pustyni —
Jakże zniknienie Marji ciemną ją uczyni!
Długo on przy jej zwłokach stał w niemej żałobie,
Jakby z kamienia posąg przy kochanki grobie;

Bo zgroza srogiej złości, i widok jej skutku,
Wygnały nawet z duszy rozczulenie smutku:
Tylko ten gorzki pomysł do żalu go wrócił:
«Ah! czemu ufał ludziom, czemu ją porzucił!»
I gdy w jej zbrzękłej twarzy widzieć mu się zdało,
Co tam w walkach ze śmiercią mimo niej zmartwiało,
Pierwszy — ostatni wyrzut — i to z tym wyrazem,
Że ich szczęście, i siebie — zagubił z nią razem!
Wtedy dopiero serce odzyskało bicie —
Twarz ukrył w obie ręce — i płakał jak dziecię!
Lecz nie długo — już serce zdradzone, pokłute,
Zepsuło się w truciznie przez jedną minutę;
Już duszy wprzód wyniosłej, zatknięte to godło,
Co wygnańców swych myśli w sromotę zawiodło.
Czyż ten bujny młodzieniec już ziemi ohyda?
Oh! pytaj raczej — na co dobroć się tu przyda?
Gdzie co czułe, szlachetne, tylko chwilę świeci —
Gdzie zgon starych rodziców korzyścią ich dzieci —
Gdzie chlubna miłość bliźnich, w udanej tkliwości,
Cieszy się ich niedolą lub szczęścia zazdrości —
Gdzie rola wzniosłych chęci zawsze się nie uda.
Bo w śliczny welon cnoty stroi się obłuda —
Gdzie tylko jedna słodycz — w wzajemnym zachwycie
Serc wiernych, niezgadnionych, zanurzyć swe życie.

XIX.

W tym ciemnym ludzkich uczuć i posępnym lesie,
Dla jednych, czas powoli odrętwienie niesie —
Gubią listek po listku aż w późnej jesieni,
Jak mszyste, głuche dęby, stoją obnażeni.
Drugim — skwarem ich słońca zbite nawałnice,
Rzucą z trzaskiem i grzmotem dzikie tajemnice;
I znów błyśnie pogoda — i czasem się zdaje,
Że weselsza zieloność po burzy powstaje.
Lecz kto się bliżej wpatrzy, choć pozór jednaki,
Dostrzeże — czarne wewnątrz spalenizny znaki:
A gdy w rażonem drzewie wicher rdzeń rozżarzy
Któż pożar od piorunu gasić się odważy?
I tak bujna krzewina zniszczenie rozniesie,
W tym ciemnym ludzkich uczuć i posępnym lesie.
Co Wacław sobie w życiu może obiecywać,
Trudno by wytłómaczyć — i straszno zgadywać;
Na jego sercu ciemna, skrwawiona zasłona,
Dosyć — na cóż ją zdzierać z ranionego łona?
Wszystko on już postradał — i chyba to zyska,
Że nie czas, ale płomień, zniszczy w nim zwaliska.
To w krótkiem zamyśleniu, korząc się przed Bogiem —
Z swym małym przyjacielem czyli nowym wrogiem
Umarłe ciało nazad wnieśli do komnaty:

A księżyc mglistym oczom pożyczył oświaty.
Tam Wacław raz ostatni posłanie jej mości,
I czułem wyręczeniem bezwładnej skromności,
Jej członki włosy, szaty, w porządek układa,
Bo ciekawa złośliwość i w śmierci ogada.
Wtedy — z tęsknem wejrzeniem na jej martwe lica,
W którem żałość rozstania, lecz i obietnica
Prędkiego połączenia — z uwagą rozpaczy,
Co każdy rys nieszczęścia w pamięć sobie znaczy —
Wtedy dobywszy miecza co świsnął, a w cięciu
Srogim będzie, i w trupa zostanie ujęciu,
Wyszedł — i zaraz z twarzy wszelkie znikły bole;
Skoczył na koń — a za nim usiadło pachołę.
Lecz któż był ten człek mały z okiem zapłakanem?
Czy duchem jego losu? Aniołem? Szatanem?
Czy szczerze drażni męki, lub smutek z nim dzieli?
Nie wiem — objął rycerza, i w czwał polecieli.

XX.

Na ukraińskiej cerkwi błyszczą się trzy wieże;
A ukraińskie baby szepcą swe pacierze:
Biją we dzwony żaki, i zysk sobie krzeszą;
Ludzie dobrzy — czy pogrzeb, czy to chrzciny — spieszą;
Wewnątrz — kiry, katafalk i trumna — a w rzędy
Blado się palą świece — czarno, straszno wszędy.
Czyjaż tam wzniosła postać, śród ciekawych grona
Leży długim i martwym krzyżem rozściełona?
Czyjaż tam pierś rycerska w kurzawie się wala?
I z tą cichą pokorą, co się nie użala,
Choć i najsroższych kaźni ciężkie dźwiga brzemię,
W swej niemej pobożności jakby wbita w ziemię?
Blady — jak łysk od gromnic co mu na twarz wbiega,
Smutny — jak śpiew umarłych, co się tam rozlega,
Z poziomego zniżenia gdzie go wiara tłoczy,
Jak robak świętojański świecą jego oczy.
Ah! to pana Miecznika siwa, nędzna głowa!
Niedawno żonę stracił — teraz córę chowa;
Na to huśtał kołyskę, by w trumnie uśpili,
Na to jej woził lamę, żeby całun szyli.
I dziwno — tak nieczułym zdał się na pogrzebie,
Jakby już dusza jego była z córką w niebie.

I takim był i potem — ni żalu, ni skargi,
Nikomu nie zwierzyły wypłowiałe wargi;
Ni łez w hardem spojrzeniu nie było oznaki;
Mniej z ludźmi, więcej z Bogiem, a z resztą — jednaki.
Codzień on w jednej porze chodził pokryjomu;
Lecz nim wydano hasła, powracał do domu.
Raz, i północ minęła, a Miecznik nie wraca;
I gdy patrząca czujność nadzieję utraca —
Gdy dziko grają trąby — a ze snu, jak z procy,
Rzucili się rycerze k'zemście lub pomocy —
Znaleźli go w smętarzu, przy córki i żony
Przyległych dwóch mogiłach, klęczał nachylony:
Taż sama w ustach słodycz, a w czole sędziwość—
Taż sama bladość twarzy, ale oczu żywość —
Czapka, wąsy, dla Polski straszydło na wrogi —
I żupan ten sam czarny — tylko że gdy trwogi
Odgłos z trąby wojennej dochodził daleki,
Nie porwał się do korda — już spał — spał na wieki!
I cicho — gdzie trzy mogił w posępnej drużynie;
I pusto — smutno — tęskno — w bujnej Ukrainie.

OBJAŚNIENIA

DO

MARJI.

OBJAŚNIENIA.

N°. 1, wiersz 31.

Minął już kozak bezdnie i głębokie jary.

Na Rusi, ledwo nie w każdej wiosce, znajdują się źródła lub studnie, osądzone przez pospólstwo za tak głębokie, że im dna brakuje; ale za to każda z tych otchłani wsławiona jaką nadzwyczajną powieścią, a czasem od duchów strzeżona.

N°. 2, wiersz 156.

Ten uśmiech, w którym może choć część zachwycenia —
Z jakiem wybrani słyszą Cherubinów pienia.

Wyraz zachwycenia, który dla tego może tak jest ujmującym w pięknej twarzy, że jeszcze coś piękniejszego zwiastuje, nie pozwala utrwalić żadnym opisem swego ślicznego zapomnienia się; a tylko pędzel Rafaela, w obrazie Świętej Cecylji, zatrzymać go potrafił w całym uroku, jakiemu się nikt prócz wyobraźni nie wpatrywał. Święta Cecylja, lubownica muzyki, wystawioną jest w tem malowidle śród narzędzi muzycznych, w chwili, gdy ją dochodzi odgłos anielskiej harmonji; i nie masz słów któreby opowiedzieć umiały uczucie, jakiem uderzona jej postać: zdaje się że jej dusza rozpierzcha się i żeni z każdym z tych słodkich dźwięków, kiedy wdzię-

czna skromność hamuje ją zamyśleniem, że niewarta tak niepojętego szczęścia, a śród roskoszy nieznanych jej sercu wkrada się smutek, że już muzyka ziemska bawić ją przestanie. Największa prostota panuje w całym układzie tego obrazu, twarz nawet Świętej Cecylji mniej ładna niż twarze niewiast w innych obrazach tego malarza; sama jedynie myśl genjuszu świeci od wieków w tem szacownem płótnie i nieopisanym wdziękiem do siebie pociąga. Obraz ten znajduje się w Bolonji, i jest policzony przez znawców w rzędzie najsławniejszych Rafaela, a co do swego poetycznego wrażenia i dla mego widzimisię, najpiękniejszy jaki wydało malarstwo.

N°. 3, wiersz 218.

Podobna do owoców Umarłego Morza.

Wiele pięknych przyrównań czytać można w angielskich poetach do tych szczególnych owoców, które rosnąć, mają nad brzegami jeziora Asphaltes, znanego pod imieniem Martwego Morza.

«Like to the apples on the Dead Sea's shore
«All ashes to the taste.»
Byron. Harold's pilgrimage, Canto III.

«Like dead Sea fruits, that tempt the eye,
«But turn to ashes on the lips.»
T. Moore. Lalla Rookh, I. 222.

N°. 4, wiersz 232.

A że nad przepych świata i blasków pozory,
Widniejsze pióra białe zniżonej pokory;

Wyrażenie to, stosowne do ucha religji chrześciańskiej, nie jest może niewłaściwem i co do sposobu, pod jakim się przedstawiają oku w znacznej wysokości utwory dumy lub dowcipu człowieka; sama nawet piękność natury, którą mu dojrzeć dozwolono. W podróży mojej na szczyt góry Mont-Blanc, gdzie przez dwie godziny pobytu doznałem uczuć, jakich już zapewne w życiu mojem nie doświadczę, w podróży tej, żywy, straciłem z oczu i z myśli dziedzinę, na której panuje człowiek, i tylko z jego siedziby przedmioty białej farby, a te właśnie których swą władzą odmienić nie zdołał, rozróżnić się dawały. I tak, widoczne były jeziora Genewskie, Neuszatel, Morat, Bienne, i t. d. jakby rozciągnięte na mroku żagle; kiedy domy, miasta nad ich brzegami stojące, barwy, blaski, ciemną mgłę tworzyły; podobnie rozpoznać było można lodozwały (glaciers), kiedy łąki, lasy, góry nawet znacznej wyniosłości lecz niższego rzędu, w szary koło nich mięszały się tuman. Nic jednak wspanialszego i dzikszego jak widok z góry Mont-blanc; ale gdy różny zupełnie od znajomych widoków, inaczej go sobie wyobrazić nie podobna, jak wystawując się uniesionym przez jakiego dobrego czy złego ducha, w chwili, gdy Bóg Chaos utwarzał. Wszystko co dziełem człeka, znika przez swoją małość; tysiące gór olbrzymich z granitowemi szczytami lub śnieżnemi tarczami, niebo prawie czarnego koloru, słońce przyćmione, blask rażący od śniegu, rzadkie powietrze, a stąd krótki i szybkie bicie pulsu, nadludzkiem jakiemś czuciem i trwogą przejmują śmiertelnika.. I pewny jestem, iż oprócz innych przyczyn, nawet dla niezmiernej różnicy tego dziwnie górnego widoku a słabości naszych zmysłów, nikt by go długo znieść nie potrafił. Niech to wspomnienie nadzwyczajnego zajęcia, jakiego doświadczyłem na tej ogromnej i

odosobnionej górze, nie będzie powodem żadnemu z naszych młodych wędrowników do przedsięwzięcia tej podróży; oprócz wielkiego bardzo trudu i niebespieczeństw, koniecznie do tego zamiaru przywiązanych, jeszcze jego pomyślny skutek od wielu obcych nam okoliczności zależy. Trzy dni pogody bez najmniejszej chmury i nie zbyt rozmiękłe śniegi, prawie potrzebniejszą pomocą, niż najcierpliwsza wytrwałość i najmocniejsze piersi; bez tych jednak warunków tylko na zgubę narazić się można, i byłoby najszkodliwszym uporem nie słuchać ostrzeżeń przewodników, którzy wszędzie w Szwajcarji, a szczególniej w Chamouni, pełni są odwagi i rozsądku. —

N°. 5, wiersz 336.

I miguie mu pod oczy święconym obraskiem:

Zdarzyło mi się widzieć szczególną w tym rodzaju pamiątkę. Na szabli tureckiej, gdzie wzdłuż klingi wypisane były zdania z Alkoranu, znajdował się wyryty przy rękojeści wizerunek N. M. Panny z napisem polskim gockiemi literami. Szabla ta należała do jednego Anglika, który ją we Włoszech nabył; dalekie więc, a zapewne nieraz i krwawe odbywała podróże. Szkoda tylko iż w napisie nie było ani roku, ani przez kogo zdobyta.

N°. 6, wiersz 470.

Suto stoły zastawić — nie szczędzić korzeni.

O guście przodków naszych w korzennych zaprawach, wiele ciekawych opisów czytać można w szacownym i zajmującym zbiorze: Pamiętniki o dawnej Polsce przez J. U. Niemcewicza.

N°. 7, wiersz 829.

Ą ktoby się miał straszyć tatarskiego tańca.

«Od Tamerlana podane prawidła zachowywali «Tatarzy i to nazywali nasi dziadowie tańcem ta«tarskim.» Czacki o litewskich i polskich prawach, k. 235 przyp. 111.

N°. 8, wiersz 873.

Co śród gęstych zarośli, niedościgłe szlaki
Tłoczą na wszystkie strony, dla mylnej poznaki.

«Stepy te wysoką okryte trawą: nie można «jechać przez nią by jej nie stratować; dla niepo«znania więc toru i śladów używają Tatarzy nastę«pującego wybiegu. Wnosząc że ich jest 400, dzielą «się na cztery części po sto; część jedna idzie na «zachód, druga na wschód, trzecia na południe, «czwarta na północ: każda część uszedłszy półtorej «mili, dzieli się na cztery części, postępuje dalej «i znów się dzieli, tak że na końcu nie będzie jak «do 10 lub 11 w hufcu. Wszyscy jadą sporym kłusem: «kiedy są postrzeżeni, każdy hufiec ucieka w swą «stronę; tak trafnie kierując się przez stepy do«chodzą do przeznaczonego miejsca, jak najlepszy «żeglarz kompasem swoim lepiej kierować się nie «może. Pędzący za nimi kozacy, trafiając na la«birynt potratowanych przez nich ścieżek, nie «wiedzą w którą stronę gonić za nimi.» Opisanie Ukrainy polskiej przez Beauplana, w Pamiętnikach o dawnej Polsce J.U. Niemcewicza. Tom III. karta 373.

N°. 9, wiersz 912.

Czy struny natężone tkliwych władz wysnuciem,
Tknięte ręką nieszczęścia, zabrzmiały przeczuciem.

Granice władz naszych umysłowych bez wątpienia ścieśnione są niezmiernie, w stosunku nieskończoności, która nas otacza; ale gdy to, czego pojąć nie możemy, za niepodobne uznamy, tak trudno i mało pojmując, staniemy się podobni do tego skeptyka z komedji, który dla tego tylko wierzył że żyje, że się mógł w każdej chwili pomacać. Nie będę ja tu rozprawiał na obronę tych dwóch wierszy, jak to być może ażeby ludzie przewidywali czasem przyszłe i odległe zdarzenia, lub czy sprawdzenie zwłaszcza szkodliwego nam przeczucia właśnie od ufności w nie pochodzi; nie będę przywodził znajomych przykładów z dawnej i nowożytnej historji: wspomnę o szczególnym i bliskim nas wypadku, który się wiąże z nieodżałowaną dla kraju stratą. Sławny Tadeusz Czacki, niepospolity licznym zbiorem swoich wiadomości, rzadszy jeszcze zupełnem zapomnieniem siebie dla publicznego dobra, który w tylu sercach istnieje hołdem najczystszej wdzięczności, oświadczał nieraz swoim przyjaciołom, iż ważniejszych okoliczności swego życia zawsze się wprzód przeczuciem dowiadywał; śmierć nawet jego poprzedzona była niepojętem ostrzeżeniem. Na kilka dni przed swoją krótką chorobą i zgonem, upewnił domowników, iż będąc w swoich pokojach, zdawało mu się, że widział umierającego swego przyjaciela i krewnego Generała Karwickiego, który go wołał do siebie: jakoż dziwnie okropnie sprawdziły się te słowa, gdy w kilka dni przyszła wiadomość o śmierci Generała Karwickiego, mieszkającego o mil kilkadziesiąt, a wkrótce i Czacki poszedł się połączyć z wzywającym go przyjacielem. Lecz jakże wierzyć w podobne powieści, i nie sprowadzić uśmiechu na twarz oziębłą rozwagi? Fizyków i Metafizyków o pozwolenie prosić wypada; od których dowiedziećby można z Shakspearem: *There are more things in heaven and earth, than are dreamt of in our philosophy.»* — *Są rzeczy na ziemi i w niebie, o których nam się ani marzy w naszej filozofji.*

N°. 10, wiersz 984.

Bór w lewo — strumień w prawo — a oni w półkole.

«Tatarzy radzi się potykają w polu równem, «pułki swe w około zgromadziwszy szykiem za«krzywionym, który pospolicie ludzie rycerscy mar«sowym tańcem zowią, a na pierwszem spotkaniu «tak gęste strzały puszczają jako najgęstszy grad.» Kronika Gwagnina, tłómaczenia Paszkowskiego karta 593.

«Tatarowie zaś zwykłym tańcem, a na kształt «półmiesiąca zakrzywionym szykiem, różnie się «rozstrzelili.» Kronika Marcina Strjkowskiego, karta 215.

N°. 11, wiersz 1054.

Czemuż choć jednej strzały nie mieli w kołczanie,
Coby jadem jaszczurki utkwiła się w ranie.

«Tatarzy strzały swe jadem jeszczurczym napu«szczają.» Paszkowski, dzieje tureckie karta 15. patrz Słownik Lindego, pod wyrazem jaszczurka. Nie znalazłszy bowiem tej książki w Bibliotece Uni-

wersytetu warszawskiego, nie byłem w sposobności sprawdzenia tego wypisu.

N°. 12, wiersz 1310.

Wszyscy domowi — szlachta, pany, giermki, draby.

Drab żołnierz pieszy: p. Słownik Lindego.

N°. 13, wiersz 1351.

Mniej straszna w swem nieszczęściu, od wężów jedzona,
Wzór najsroższych męczarni — postać Laokona.

Powszechnie wiadoma historja, a wielu z moich rodaków widziało sławny posąg, do którego stosuje się to przyrównanie.

Drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku.